



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

Wesołość nie opuszcza Chińczyków nawet w chorobie i cierpieniu. Często spotykamy w Chinach ludzi chorych, w oddaleniu od domu, pogrążonych w ostatecznej nędzy, opuszczonych przez własną nawet rodzinę, mimo to zachowujących zupełny spokój ducha.

Wogóle jest to lud bardzo biedny, lecz umiejący osłodzić swą niedolę: ubogie mieszkanka stroją tam zielenią i tem rozweselają najnędzniejszą nawet izdebkę. Wszyscy Chińczycy począwszy od najbogatszych, których domy wyglądają, jak ogrody kwitnące, aż do najbiedniejszych ogromnie rozmiłowani są w kwiatach, hodują ich mnóstwo i stąd ojczyznę swą często obrazowo nazywają „Krajiną kwiatów.”

Służący chińscy spełniają swe ciężkie nieraz obowiązki bez skargi i z wielką uprzejmością. A jeśliby kto ze służby spróbował narzekać na swój los, towarzysze wyśmiliby go z pewnością, nadaliby mu zabawne przezwisko, lub ułożyli na poczekaniu dowcipne jakieś przysłowie.

Pewien Anglik miał służącego Chińczyka, który w ciągłych podróżach, trwających niekiedy po kilka miesięcy, bez względu na porę roku, lub pogodę, wstawać musiał bardzo wcześnie, kłaść się późno, piąć się po stromych i skalistych górach, dźwigając ogromne ciężary, boso przebywać

wśród marznące rzeki, a w czasie każdego wypoczynku przygotowywać jeszcze schronienie i żywność dla pana. Pracę tę wykonywał on za skromne bardzo wynagrodzenie i bez skargi. A po kilku latach uciążliwej służby pan jego zaświadczył, iż ani razu nie widział służącego w złym humorze.

Nie wiem, czy znajdzie się wśród najszczęśliwszych Europejczyków, komu podobne świadectwo wydaćby można.

II. Ceremonie chińskie.

Mówiąc o przesadnych grzecznościach, w żartach nazywamy je chińskimi ceremoniami. I nazywamy je tak słusznie, gdyż, lubującą się w wyszukanych komplementach etykieta chińska, wydaje się nam często nienaturalną.

W księgach mędrców chińskich istnieje aż trzysta przepisów różnych ceremonii, czyli obrzędów i trzy tysiące zasad zachowania się. Obowiązują one wszystkim dobrze wychowywanych ludzi.

Zdawałoby się, że ciągle myśl, aby nie nchybić któremukolwiek z tych przepisów, zatruwać musi wszelkie stosunki z ludźmi. W Chinach jednak nie widzimy tego wcale.

Chińczycy, wychow-



ŚWIATYNIA KONFUCYUSZA W PEKINIE.

wani w tych przepisach zrosli się z nimi i wiedzą doskonałą, co w danej chwili powiedzieć, lub uczynić należy. Wielką uprzejmość ich możnaby porównać tylko z wyszukaną etykietą, jaka panuje na dworach królów, lub książąt europejskich.

Prawda, że i w Chinach ludzie prości, lub wieśniacy, zdala od ognisk oświaty mieszkający, nie trzymają się ściśle tych przepisów, lecz wszyscy bez wyjątku rozumieją potrzebę grzeczności i starają się zawsze okazać, że się na niej znają.

Grzeczność nakazuje Chińczykom wyrażać się zawsze z największą delikatnością, aby nikomu przykrości nie wyrządzić. Cudzoziemcy, nie przywykli do takich ceremonii, często krajowców zrozumieć nie mogą, trudno im się nawet domysleć, o co właściwie tamtym idzie.

Wchodzi np. służący, oznajmiając, iż jedna z jego ciotek zachorowała, w skutek czego zmuszony jest wyrzec się zaszczytu usługiwania nam przez kilka dni, aby się dowiedzieć o jej zdrowiu.

Prawdopodobnie jednak chłopiec ten wcale ciotki nie ma, tylko posprzeczał się z kucharzem, który ustąpić mu nie chciał i teraz w delikatny sposób zawiadania państwa o swym zamiarze opuszczenia służby.

Do dobrego tonu należy, mówiąc o blizkich swoich, wspominać ich z zupełną pogardą i lekceważeniem, zachowując nadzwyczajny szacunek dla osoby, z którą rozmawiamy i dla jej rodziny.

Znający się przeto na grzeczności Chińczyk o sobie mówi: „mały młodszy brat,” lub „grzesznik,” do towarzysza zaś zwraca się ze słowami: „wielki starszy bracie.” — Opowiadając o żonie swej używa wyrazu; „tępy cień,” albo przezywa ją innem równie pogardliwym imieniem; syna swego nazywa zwykle „mój piesek” dla odróżnienia go od dziecka przyjaciela, które tytułuje „pański syn.”

Śmieszność etykiety chińskiej dobrze maluje następująca anegdotka, opowiadana przez samych Chińczyków:

Pewien gość, wystrojony w najpiękniejsze swe szaty, przychodzi w odwiedziny do znajomego i siada w bawialni, oczekując gospodarza.

Tymczasem na belce pod sufitem, jako w najbezpieczniejszem schowanku, stał dzbanek z olejem. W chwili, kiedy gość wchodził we drzwi pokoju, do dzbanka zakradał się szczur. Przerażony niespodziewanem pojawieniem się człowieka, szczur odskoczył, przewracając dzban, który całym ciężarem spadł na głowę gościa.

Ochłonawszy cokolwiek z bólu, gość widzi z rozpaczą, iż olej zniszczył piękne jego ubranie. Zrywa się więc z czerwienionym z gniewu. Na to wchodzi gospodarz.

Po oddaniu sobie nawzajem należnych ukłonów, gość opowiada co zaszło:

„Kiedy wszedłem do szanownego pańskiego domu i siadłem pod szanowną pańską belką, niechcący przestraszyłem szanownego pańskiego szczura, który, uciekając, przewrócił szanowny pański dzbanek z olejem, na niekczemną moją głowę i niegodne uwagi ubranie i oto, dla czego stoję w szanownej pańskiej obecności w prawdziwie pogardliwym stanie.”

W taki mniej więcej sposób powinien zawsze znaleźć się dobrze wychowany Chińczyk.

Lecz biada temu, kto nie zechce stosować się do obo-

wiązujących przepisów. Inni potrafią surowo ukarać go za takie lekceważenie.

Jeśli by np. woźnica, zapytując przechodniów o drogę, nie zsiadł z wózka i nie zdjął czapki, danoby mu z pewnością mylne wskazówki. Długo błędziłby biedaczysko, lecz za to pamiętałby na zawsze lekcję grzeczności.

To też wszyscy obywatele Państwa Niebieskiego szanują i przestrzegają zachowania przepisów uprzejmości, zawartych w księgach klasyków.

Jedni tylko cudzoziemcy w Chinach, a zwłaszcza Anglicy nie mogą przywyknąć do tych ceremonii, lekceważą je i tem ściągają na siebie głęboką pogardę wykształconych krajowców.

Żaden prawie z obcych przybyszów nie potrafi zmusić się do niskich, nieskończoną ilość razy powtarzanych ukłonów, lub do długiego ceremoniowania się we drzwiach, zanim gość da się nareszcie uprosić, by wszedł pierwszy.

Zbytecznem, wprost niemożliwem, wydaje się Anglikowi, gdy jedzie za ważnym, a pilnym interesem i spotka znajomego wśród drogi, zatrzymać się, jak nakazuje etykieta, konia oddać przyjacielowi, prosząc, by raczył użyć go do dalszej podróży, a samemu iść pieszo.

A jednak najprostszy nawet Chińczyk z pewnością ofiarować zechce znajomemu swego konia z taką uprzejmością, iż tem zadziwić a nawet ująć sobie musi nieprzywykłego do podobnej grzeczności człowieka.

Nie dziwnego zatem, że cudzoziemcy uważani są w Chinach za barbarzyńców, niezdolnych nawet zrozumieć wartości cywilizowanego życia. A jednak główną przyczyną nieporozumienia jest to, iż my mamy zupełnie inne pojęcie o grzeczności, aniżeli ludy wschodnie. Uprzejmość rozumiemy, jako prawdziwie życzliwe uczucie, pochodzące z miłości bliźniego, a wyrażone w słowach prostych, lecz z sercem płynących.

Uspodobieniu temu winna towarzyszyć gotowość do oddawania usług. Chińczycy zaś przeciwnie mają stałe przepisy zachowania się w każdej okoliczności, a do ugrzecznionych swych słów nie przywiązują wielkiego znaczenia.

Jako przykład tego posłużyć może następujące opowiadanie misjonarza francuskiego, Ojca Huc.

Mieszkając na południu Chin, wysyłał on pewnego razu umyślnego posłańca z listem do Pekinu. Wyprawiając w drogę owego człowieka, polecił mu wstąpić do nauczyciela szkoły miejscowej, aby i on skorzystać mógł z rzadkiej sposobności przesłania listu matce swej, staruszce, której już od czterech lat nie widział.

Słyszając, iż posłaniec za chwilę odejdzie, nauczyciel zawołał jednego z uczniów, w sąsiednim pokoju powtarzającego lekcye i rzekł mu:

— Weź papier i napisz prędko list do mojej matki. A nie trać czasu, gdyż posłaniec spieszy się.

Słowa te zastanowiły Ojca Huc, spytał zatem nauczyciela, czy chłopiec zna jego matkę, a usłyszawszy, iż dotąd nie wiedział nawet o jej istnieniu, zadziwił się jeszcze więcej i spytał:

— Czyż on będzie wiedział, co pisać, jeśli mu pan nie nie powiedział?

— Chłopiec od roku pisuje ćwiczenia, zna mnóstwo pięknych zwrotów i jeszczeby nie umiał listu napisać — brzmiała odpowiedź.

Sądzi pan, iż on nie wie, co kochający syn winien powiedzieć w liście do matki?

Rozmowę ich przerwało wejście ucznia. W ręku trzymał list, nie tylko napisany, ale nawet zapieczętowany, nauczyciel dopisał tylko adres.

Jak widzimy, list taki mogłaby z równą przyjemnością odczytać każda matka w wielkiem państwie chińskiem.

Listy adresują Chińczycy zwykle w ten sposób:

„Miłościwa moja Matka. — Wielka Niewiasta,”

„Stryjeczny dziadek. — Wielki Człowiek,”

„Cnotliwy Młodszy Brat. — Wielki Człowiek,”

Nie wymieniają jednak nigdzie nazwiska owego „wielkiego człowieka.”

W ten sposób adresowane listy mogą dojść do miejsca przeznaczenia jedynie dzięki temu, iż w braku poczty, Chińczycy posyłają wszelkie listy i paczki przez unięśnego posłańca. W najruchliwszych tylko miejscowościach istnieją prywatne przedsiębiorstwa, na małą skalę zastępujące nasze poczty.

Jednym z objawów grzeczności chińskiej są częste upominki, wręczane przyjaciółom i znajomym. Lecz przyjmować je należy z wielką ostrożnością. Niektórych nawet pod żadnym pozorem brać nie można, z obawy narażenia się na nieskończone pretensje do wdzięczności ze strony obdarzających, w innym znów wypadku odmowa obraziłaby śmiertelnie dającego.

(d. c. n.)

Na naszych polach.

Słońce sierpniowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i blonie
Owiała mgła różowa.
A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej,
Jakaś powiewna postać wychodzi
Na nasze pola, lany.
Bielą się zdala śnieżne jej szaty
Po łąkach i po lesie,
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty,
I rąbek szat jej niesie.
Drobne na piersi złożyła ręce.
I płynie po przezroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.
Czasem, kosiarzy, co zboże siekają,
Pobłogosławi zdali —
Albo rybaków zgietych nad rzeką
Co się od zorzy pali.
Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrzy za nimi rzewnie i długo
Z uśmiechniętymi usty.
A gdy po drodze dziecko napotka,
Co pasie owce, krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka
I włos mu gładzi płowy.
Wierzy garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią klonią,
Kwiatów u nóg Jej kłękają rzesze,
Modląc się do Niej — wonią.

Grają koiików polnych kapele,
Z chórami żab złęczone,
Echo rozwiejne u stóp jej ściele
Tę rzewną antyfonę.
I przez wieczorną ciszę się niosą
Litania te olbrzymie,
Pływie po świecie z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię.

Lucyan Rydel.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Gdy wydobyli się na szczyt Małolęcniaka, dotykającego Czerwonych Wierchów, padli jak bez duszy na ziemię; płuca z trudnością chwytali powietrze a pot kroplisty spływał im z czoła. Przewodnik, nie czekając rozkazów, wydobyl butelkę z winem i nalewał wszystkim w kolej. Wino pokrzepiło wkrótce strudzonych: mogli nie tylko oddychać swobodnie, ale rozmawiać i cieszyć się widokiem osiągnięty z takim trudem.

— Jesteśmy na wysokości przeszło 6,000 stóp nad poziomem morza — oświadczył Strand — i możemy ztąd zajrzeć w głąb świata zaczarowanego.

Cyfra ta zaimponowała wszystkim:

— No — zawołał Henryk — ten Gewont taki wspinały i dumny, gdy się nań patrzy z Zakopanego, tutaj wydaje się prawie małym, a Czerwony Wierch o wiele go przeraża. Rozumiem teraz owe lawiny zsuwające się z niego w zimie, bo śniegi nagromadzone na Czerwonych Wierchach, własnym ciężarem się obsuwają na jego zbocza.

— Niezła uwaga — rzekł profesor — szczyt Czerwonego Wierchu jest kopulasty.

— Bardzo dogodny do obozowania — dodał baronet. — Gdybym miał z sobą namiot, chętnieby tu zano-cował, bo przepyszna ztąd rozciąga się panorama. Ale bez namiotu nocować niepodobna, bo zabardzo bylibyśmy wystawieni na wiatr.

— A gdyby przyszedł wicher halny, toby nas zmiotł jak lawinę po zboczach Gewontu, bo przychodzi zawsze z południa.

— Słyszałem o tym wicherze — powiedział sir Edward — czy istotnie taki straszny?

— Kto go nie spotkał, nie może mieć o nim wyobrażenia — dodał malarz.

— Dla czego Wierchy te nazywają się Czerwone?

— Przyczyną tej nazwy są trawy, porastające szczyty i czerwieniące się w miarę postępowania lata.

Gdy baronet mówił o noclegu, przyjaciele porozumieli się oczyma, które mówiły: „A to niespożyty starzec! Przyszedł Kraków, co w jego wieku równa się przejściu Alp przez Napoleona i nie tęskni do wygodnego łóżka.”

Z miejsca na którem obozowali, najpierw od wschodu wpada w oczy imponujący szczyt owego złotodajnego Krywania, który rozpoczyna szereg dziko potarganych grzbietów Wysokich Tatr. Przewodnik nazywał po kolei wszystkie szczyty i pokazawszy długą i śnieżystą smugę ohok Mięguszowieckiego Wierchu, rzekł:

— Tam są Rysy, a pod nimi Morskie Oko.

— A nad niemi piętrzy się Gałruch, król Tatr — dodał doktor — z kąd widzieć można 40 stawów i powtórzyć wiersz Deotyiny:

„Jak błyszczące pióra pawie
Tak się mieni wachlarz gór;
W Tatrach leży staw przy stawie
Niby oczy pawich piór.”

— A oto Murań i Hawrań z Kobylim Wirchem, w którym są grotty Bialskie — dodał profesor.

— Z kąd pan to wie, skoro pan jest tu po raz pierwszy dopiero — spytał Henryk.

— Rozpatrzyłem się na mapie, żeby się módz oryentować, w razie gdybyśmy się zbłąkali.

— Jacy ci uczeni są przewidujący! — żartował malarz.

— A tu Swinica — mówił dalej przewodnik z wyciągniętem ramię — ku górcom — i portargane grzbiety Granatów, z poza których wyziera Lodowy szczyt.

— A co to za przełęcz od południa, poza którą widać odrębne pasmo gór?

— To są Niżne Tatry.

— A tu na zachód za Czerwonemi Wirchami, co to za góra co nam zasłania dalszy widnokrąg.

— To jest Krzesanica, najwyższy z Czerwonych Wirchów, których jest trzy. Kto zechce puścić się na niego, co najwy-

żej 25 minut zajmie, temu odchyła się widok na zachodnie krańce Tatr, na ciągnący się u stóp łańcuch gór nieprzerwany, którym przejść można wzdłuż, aż po Osobitą.

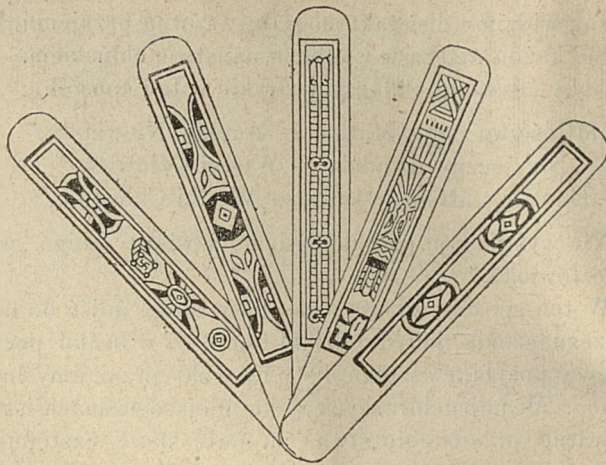
Baronet wyjął z futerału lunetę zawieszoną na pasku rzemiennym, i nastawiwszy ją rozglądał się dokoła. Gdy zwrócił się na północ twarzą do Gewontu, gdzie rozwijał się jak na dłoni widok na całe Podhale, a za nim na Beskidy, malarz zwrócił mu uwagę na pewien drobny punkt i powiedział, że to jest Kraków, już nie ten fantastyczny z kamienia, ale prawdziwy — i że przy dniu pogodnym i czystym powietrzu, dojrzeć go można.

Anglik długo patrzył i potwierdził, że widzi grupę punktów ale nic więcej; potem gdy zwrócił lunetę na południe, Witold dodał wskazując na obszary Liptowa.

— Górale nasi w swych zagonach po obszarze Tatr, spotykali się od zachodu z Orawcami, z południa z Liptakami, a od wschodu ze Spizakami. Siedząc na pograniczu, wyrobili sobie wczesnie pojęcie swej odrębności narodowej, zacieśnionej do obrazu Podhala, siebie tylko uważając za Polaków. Lud polski w dolinach, to już nie Polacy: to Lachy. Były to zatem, jakby oddzielne narodki walczące z sobą, a że takie sąsiedztwo rzadko prowadzi do zgody, więc też na granicach wirchów granicznych, wrzała plemienna nienawiść. Z Liptakami mieli oni krwawe rachunki, to o zwierzyne, to o wzajemne napady na szałas pasterskie i zwali ich „Żli ptacy”. Doktor Chałubiński w jakiejś książce o Węgrach, wyczytał następującą legendę.

„Onego czasu Liptacy oddawali się zbójectwu, kradzieżom i wszelkim najgorszym zbrodniom. Stali się oni najniebezpieczniejszymi dla swych sąsiadów, którzy nazywali ich „Żli ptacy”. Liptacy rozgniewani i znudzeni tem przewziewkami, postanowili prosić króla Atyllę, aby ich od niego uwolnił, nadając inne miano. Wyprawili tedy dwóch posłów do króla Atylli, dołączając wielki kosz jaj, bo Atyl-

la bardzo jajecznice lubił. Jeden z posłów miał powitać króla, mówiąc: „Wielki królu Atyllo” a drugi miał dodać: „Niech cię Bóg błogosławi”. Po tem powitaniu miało nastąpić ofiarowanie jaj, oraz przedstawienie samej prośby o zmianę nazwiska. Kosz był ciężki i posłowie naprzemian



Karty chińskie.

nieśli go na głowie. Nareszcie przybyli oni do rezydencji króla Atylli, który siedział w dolnej izbie, a próg tej izby był bardzo wysoki. Posłaniec, będący bez ciężaru, wszedł pierwszy, skłonił się królowi i rzekł: „Wielki królu Atyllo!” lecz drugi, dźwigający na głowie kosz z jajami, progu nie spostrzegł, potknął się i jaja rozsypał, a widząc je potłuczone, wykrzyknął z gniewem: „Niech cię dyabli porwał!” Król Atylla, biorąc ten wykrzyk do siebie, wpadł w gniew, nie chciał prośby wysłuchać, i rozkazał, żeby nazwa „Żli ptacy” na wszystkie wieki pozostała.”

Opowiadanie to rozweseliło wszystkich: śmiali się z niefortunnej przygody posłów, zapomniawszy o trudach przejścia przez szczelinę Krakowa. Widok gromadki turystów zwabił młodego juhasa, pasącego owce w pobliżu. Biegł w podskokach, hukając i przysiadłszy się do górali, wdał się z nimi w rozmowę.

Za opaską kapelusza zatknął miał gałązkę różanego kwiecica, przy którym były ciemne połyskujące liście. Doktor jak tylko spostrzegł gałązkę, zawołał do siebie chłopaka, a wzięwszy od niego kapelusz wyjął ją przypatrzył się z nieukrywanem zdziwieniem i jął dopytywać chłopca gdzie ją zerwał. Odpowiedział, że rośnie tego jeden krzak na Gewoncie. Wszyscy zaciekawieni zachowaniem się doktora, chcieli gałązkę obejrzyć, a baronet rzuciwszy na nią okiem, rzekł:

— Rhododendron.

— Tak, *Rhododendron hirsutum*, czyli Różanecznik szorstki, drobny krzew z rodziny wrzosowatych — potwierdził doktor — w którego istnienie w Tatrach dotąd nikt nie wierzył. Gdy przed kilkunastu laty profesor berliński Acherson znalazł na Gewoncie jeden okaz, wszyscy to uważali za bajkę. Uderzającą nawet było rzeczą, że tutaj w krainie kosodrzewu, brakuje różaneczników, skoro w Siedmiogrodzie, na Czarnej horze i we wschodnich galicyjskich Karpatach, rosną w obfitości.

— W czasach gdy baśń opowiedzianą przez pana Ja-



Rhododendron hirsutum.
Rozania kosmaty.



Na naszych polach.

kóba była prawdziwą — wtrącił Henryk. — Rożaneczniki są roślinami żyjącymi gromadnie, jeżeli zaś pojedyncze krzaki tu się znajdują, dowód to że rożaneczniki żyły tu kiedyś w obfitości, lecz wyginęły, lub są blizkie wyginiecia w skutek zmian klimatycznych. Węgierskie Towarzystwo Ta trzańskie, które bardzo się stara o przyozdobienie Tatr po swojej stronie, sprowadziło okazy rożanecznika z Alp, ale te posadzone w kilku miejscach, z wyjątkiem jednego, wyginęły. Najlepszy to dowód, że klimat nie służy tej roślinie.

Gałązka Rhododendronu pozostała przy doktorze, a centy przeszły z kieszeni jego do ręki chłopaka. Malarz zaczął go rozpytywać, czy nie widział gdzie róży bez kolców i opisał krzak jak mógł najdokładniej. i juhas z wielkiem wszystkich zdumieniem odpowiedział, że widział na niejednem miejscu w Dolinie Kościeliskiej, ale nie pamiętał czy miały kolce czy nie. Powtórzono tę relację baronetowi, który dziwił się bardzo; rozglądał się bowiem uważnie po dolinie, szukał wszędzie, gdzie tylko oczyma mógł dosięgnąć i żadnych róż nie dojrzał, a wzrok miał dobry.

— Wracać się nie będę — powiedział — może znajdę jeszcze gdzieś indziej moją różę; niepodobna żeby te rośliny w tem jednym tylko miejscu miały się osiedlić.

— A najpewniej on nie wie czego szukamy, tak jak górale, którzy Waszej Dostojności przynieśli pęki kwiatów, mających być niby ową różą, a wcale do niej nie podobnych.

— A jeżeli on jednak widział różę bez kolców — rzekł Warburton — powiedzcie mu panowie gdzie mieszkam, niech ją tam przyniesie, a otrzyma nagrodę sowitą.

Juhas pobiegł do swoich owiec, a doktor trzymał w ręku gałązkę zamyślony, wreszcie odczuwał się do reszty towarzystwa:

— Czy panowie nie weźmiecie mi za złe, że urządzę ztąd małą wycieczkę na własną rękę, i zaczekacie na mój powrót?

— Jak długo ta wycieczka potrwa? — zapytał baronet.

— Z godzinę: to dosyć dla mnie, a dla was pewnie nie zawiele po utrudzającej podróży przez Kraków. Chcę iść na Gewont.

(d. c. n.)

POCAŁUNEK SŁOŃCA.

Baśń

przez S. Potworowską.

(Dokończenie).

Dwa lata już upłynęły od wyjazdu trzech królewiczów. W całym państwie Potęgossława wre gorączkowe życie i oczekiwanie powrotu Słońcochwała, Światłomiła i Orlika. Cóż przyniosą w darze? który z nich panować będzie? Czy Orlik pójdzie Słońcu na ofiarę? Oj żal by im było Orlika. Czemuż ten najmłodszy niema siły i zdrowia braci! Słońcochwała nie chce! Dumny i pyszny! precz z nim! Niech Światłomił panuje.

A Potęgossław z trwogą w sercu oczekuje chwili, która wypowie ostatni wyrok nad ukochanym Orlikiem.

— Słońce — modli się cicho — daj jemu zwycięstwo. I modli się serdecznie, chociaż szarpie nim bolesna pewność, że nie zwycięży ten słaby i waty syn jego.

— I pójdzie mój Orlik na ofiarę i w krwi jego ja, ojciec, maczać będę palce, by namaścić czoło wybranego.

Bolesną zadumę przerywają krzyki ludu i głośnie uderzenia wszystkich dzwonów. Przyjechali! Król wstaje

i patrzy przez okno. Stoją trzy rumaki u bram pałacu, ale któż to zsiada z trzeciego konia? To nie Orlik. Dzieńczę anielskiej piękności, wsparte na ramieniu Światłomiła, wchodzi do pałacu. Któż to taki? Potęgossław nie czeka długo na odpowiedź. Nagle otworzyły się drzwi i wbiegł Światłomił, a za nim dziewczę wchodzi nieśmiało.

— Ojcie! — woła Światłomił — błogosław i kochaj ją, bo aniołem jest przyszła twoja synowa, moja Myszkabiała.

I pobłogosławił stary monareha i czuł się szczęśliwym szczęściem kochanego syna. Lecz wnet smutek pojawił się znowu. Gdzie Orlik? czyżby zginał w drodze?

— Niech żyje Słońcochwał! na czele wojsk jego zdobędziemy świat cały! — woła wojsko, zachwycone małą ołowianą kulką — niech żyje i niechaj nam panuje!

Tłumy ludu mileczą.

Światłomił wstaje i woła głosem donośnym:

— Ja i Myszka moja nie chcemy panowania, ale Słońcochwał na jeszcze brata...

Przerwały tłumy:

— Orlik, Orlik, czekajmy na Orlika.

Uśmiecha się Słońcochwał i patrzy z dumą i gniewem na te tłumy, które śmiały myśleć o watyłym i słabym Orliku, gdy on na nie patrzy.

Nagle Potęgossław spojrział na grobowiec świętego króla i zdumiał. Słońce brylantowe świeci blaskiem słonecznym.

— Skąd ten ogień? Poszły spojrzenia tłumy za wzrokiem królewskim i szal je ogarnął. Wojsko krzyczy:

— Słońce błogosławi wybór najstarszego królewicza.

W tejże chwili otwierają się podwoje grobowca i staje w nich Orlik, a tak zmieniony i tak piękny, że ojciec tylko poznaje w nim syna i woła z radością:

— To on! Orlik.

— Orlik! — wołają tłumy.

Blednie Słońcochwał i chwieje się na nogach.

A Orlik idzie prosto ku niemu z szlachetną dumą na czole i z surową powagą w ciemnych oczach.

— Słońcochwał! rzuc kule piekielną, bo nie zadaniem króla mordy, krew i grabieże.

— Nie rzuć! — krzyczy zagadnięty.

— Rzucisz! — odpowiada z niebywałą siłą Orlik.

Zdumienie maluje się na wszystkich twarzach. Najmłodszy królewicz nachyla się nad siedzącym bratem i składa pocałunek na jego czole. Jęk straszliwej boleści rozdziera powietrze, twarz Słońcochwała wykrzywia się okropnie. Padła na kolana.

— O nie całuj więcej, bo ból zabije.

— Ból cię nie zabije, lecz wyleczy z wpływu szatana. Odtąd ja lekarzem twoim, ja! Orlik! król wasz, narodził mój serdeczny.

— Co niesiesz w darze? — pyta Światłomił i patrzy z radością na brata.

— Pocałunek Słońca! — i w tejże chwili nad czołem Orlika zawiśł blask złotej korony.

Zakołysały się tłumy... z tysiąca piersi wyrwał się okrzyk... stary ojciec wznosił dłonie ku brylantowemu słońcu, a po zmarszczonej twarzy jego spływają wolno łzy szczęścia! Po chwili u nóg jego klęczy Orlik.

— Orlik!

— Ojcie! — odpowiada pieszczotliwym głosem i przytula się do piersi starca i pieści się z nim, jak za lat dziecięcych.

— Niech żyje Orlik! niech żyje król nasz wielki! — krzyczą tłumy. A złota muszka wzięła na skrzydła okrzyki te radosne i zaniosła je Słońcu, a Słońce cieszy się i przyłącza głos swój do głosu narodu i woła:

— Niechaj żyje prawda! niechaj żyje dobro! niechaj żyje Orlik.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— Wprawdzie stan jest bardzo groźny — odpowiedział na zapytanie Turka — nie usuwa jednak nadziei wyleczenia, mianowicie przy tak silnej kompleksji. Teraz należy go przenieść ostożnie do hotelu, lub najlepiej do szpitala miejskiego, by mu potrzebnej nie zabrakło opieki.

— W tej chwili nie zaniosę go ani do szpitala, ani do hotelu — rzekł Turk, w którego nowa wstąpiła otucha, na pocieszającą opinię doktora.

— Gdzież więc go umieścisz? — pytali obecni.

— Zaniosę go przedewszystkiem do zarządu poczt i telegrafów...

Ze Turk miał rację, przyznano mu to ogólnie. Od chwili bowiem, gdy komodor wbrew wszelkim przeciwnościom po zaciętej walce z żywiołami, przybył jednak jeszcze przed oznaczonym w grze Hypperbona terminem do Key-Westu, on jako jego jedyny przyjaciel, a teraz i opiekun, nie powinien zapomnieć o celu tej podróży. I niechże publiczność obecna zaświadczy, że szósty partner, znajdował się, bądź co bądź, 25 maja o 12-ej godzinie w tamecznem biurze telegraficznym.

Z tą myślą, w braku lektyki, o którą starać się nie było czasu, złożył Turk ciągle nieprzytomnego komodora na prostych noszach i w otoczeniu coraz liczniejszych tłumów sam pomagał w niesieniu, podziwiany przez wielu, niezrozumiany przez innych.

Jakież było zdziwienie urzędników pocztowych, gdy ujrzeli wchodzący do ich gmachu ten kondukt żałobny. Czyżby zaszła szczególna pomyłka i zamiast do kaplicy pogrzebowej wprowadzano tam ciało jakiegoś nieboszczyka?

Gdy się wszakże dowiedzieli, że był to jeden z partnerów gry Hypperbona, wprawdzie ciężko ranny, lecz żywy jeszcze, zdziwienie ich zmieniło się w szczere zainteresowanie.

Turk nie tracąc czasu zbliżył się do okienka.

— Czy jest depesza dla komodora Urricana? — zapytał.

— Nie dostaliśmy jej jeszcze — brzmiała odpowiedź.

— A więc zechciejcie panowie zaświadczyć piśmieniem, że komodor jest tu obecny, nawet przed jej nadejściem.

Urzędnik chętnie spełnił to życzenie i akt został spisany w obec licznych świadków, lecz, że brakowało już tylko 15 minut do dwunastej, Turk za radą urzędników zgodził się poczekać, aż mu depesza doręczoną zostanie.

Jakoż niebawem zadzwieczał dzwonek aparatu, który począł znaczyć na taśmie papierowej zwykłe swe kreski i punkta, które zostały w lot przepisane na urzędowej karcie.

Turk, ujawszy podany sobie papier, czytał:

„Chicago Illinois. 25 maja, godzina 8, minut 13. Pięć z trzech i dwóch — pięćdziesiąta ósma przedziałka, Stan Kalifornii. Death-Valley.

Tornbrock.”

Oto co się nazywa nie mieć szczęścia! Znowu szalona podróż, tym razem ze wschodniego na zachodni kraniec Ameryki; z półwyspu Florydy na półwysp Kaliforni po olbrzymiej przestrzeni przeszło dwóch tysięcy mil. I nie dosyć na tem. Turk zapoznał się już o tyle ze szlachetną grą gęsi, że uprzytomnił sobie zaraz, iż ta pięćdziesiąta ósma przedziałka ozdobiona jest „trupią głową,” że wysłany

tam partner zaledwie stanie na miejscu, nawracać musi niezwłocznie, by rozpocząć grę nanowo.

— Kto wie czyby już nie lepiej było — westchnął z goryczą — aby mój biedny pan nie zbudził się już wcale do świadomości, bo taki cios będzie jeszcze bodaj gorszym dla niego od dzisiejszego rozbicia.

Ogólne położenie.

Wiemy już, że osobistość X. K. Z. która z woli testatora używać miała tych samych praw, jakie przysługiwały „sześciu” wybranym przez los, pozostała wbrew powszechnej ciekawości nieznaną. Kim był ten „człowiek z maską”, czy wskazał go jak tamtych los kapryśny, czy też osobisty wybór zmarłego Dziwaka, uikt zbadać nie mógł.

Ale mimo, że nawet wielu wątpiło w jego istnienie, rejent Tornbrock jak to już nam również wiadomo, nie zaniedbał dnia 13 maja o 8-ej rano, rzucenia kości na jego rachunek; a los był mu przyjazny, gdyż otrzymanych punktów dziewięć: z trzech i sześciu, posuwało go znacznie w grze i dwugodzinny zaledwie przejazd do Milwaukee, mógł go również zadowolnić, mianowicie jeżeli nie był jak Kynbale spragnionym dalekich podróży.

Przez kilka dni następnych po ciągnięciu, najciekawszy z mieszkańców Chicaga, a było ich bardzo dużo, podążali na centralny dworzec ilokrotnie odchodził pociąg do stolicy Stanu Wisconsin, zawsze w nadziei, że tajemniczy siódmy partner gry Hypperbona zdradzi się czeńskolwiek wśród innych podróży. Zawiedli się jednak najzupełniej.

Wprawdzie raz, w chwili odjazdu pociągu, jakiś jego-mość z dość oryginalną powierzchownością zwrócił ich uwagę, ale szczerze jego zdumienie na wyprawioną sobie owacyę było niezawodnym dowodem pomyłki.

Oczywiście rejent Tornbrock niepokojony też był nieustannie pytaniami.

— Jeżeli kto na świecie, to pan przedewszystkiem musisz coś wiedzieć o nim — badał ktoś z mniej ustępných.

— Mylisz się pan, nic nie wiem...

— Jakt! Nie widzieliś go pan, nie znasz go zupełnie?

— Nie znam. A gdybym nawet znał, prawdopodobnie nie miałbym prawa zdradzenia jego incognita.

— Jednak nie obce musi być panu miejsce jego zamieszkania, skoro mogłeś go zawiadomić o rezultacie gry.

— O niczem go nie zawiadamiałem i nie wiem, czy dowiedział się o tem z pism i ogłoszeń na ulicach, czy też sam był obecny w sali Auditorium.

— W każdym razie będziesz pan zmuszonym wysłać do niego telegram z następnym dla niego wyrokiem losu, 27-go tego miesiąca.

— Oczywiście...

— A więc gdzie?

— Tam gdzie będzie, czyli gdzie być powinien... do Milwaukee.

— Pod jakim adresem?

— Poste-restante pod literami X. K. Z.

— A jeśli tam nie będzie i nie odbierze depeszy.

— Gdyby się nie stawiał, ulegnie ogólnej karze, czyli pozbawiony zostanie przysługujących mu teraz praw — zakończył rejent i pożegnał natrętnego badacza.

Stanowczo, ten człowiek z maską to oryginał, który jeżeli da się wyprzedzić innym partnerom pozostanie na zawsze w mgle tajemniczości, jaką się otoczył, — albo stanie się znanym i sławnym na świat cały, jeżeli będzie tak szczęśliwym, że zagarnie miliony Hypperbona.

Powoli, zbytnio zrazu podniecone w tym kierunku zajęcie stygnąć zaczęło, i ostatecznie nie więcej zajmowano się imci panem X. K. Z. jak każdym innym partnerem gry, dla której znowu zainteresowanie wzmagano się ciągle, bo jeśli Amerykanie przepadają w ogóle za niezwykłością, to sport zakładowy i połączony z nim hazard pociąga ich przedewszystkiem.

Więc też coraz to liczniejsze powstawały biura, przyjmujące wpisy od najdrobniejszych do najwyższych sum, a wysyłani z nich agenci werbowali mniej chętnych. I to nie tylko Chicago, nie tylko większe miasta, ale i małe miasteczka Stanów Zjednoczonych stały się widownią owych zapasów z fortuną. Mało tego, cała Ameryka wzięła niebawem w nich udział, a w końcu chorobliwa ta gorączka przeprowadzała nawet za morza: do Europy, Azji, Afryki i Australii.

I okazało się, że jeżeli zmarły Hipperbone wódł żywot nazbyt może cichy i nieznany, to ruchem, wrzawą i zamieszaniem jakie obudził nadlugo po swej śmierci, zasłużył stanowczo na wdzięczność i uznanie swoich kolegów z Klubu Dziwaków.

Któryż wszakże z siedmiu mógł być uważanym dotąd za najszczęśliwszego w owym wyścigu nowego rodzaju, jakim była gra ta niezwykła.

Zdanie w tym względzie było różne.

Wprawdzie Kymbale umiał najwięcej zająć publiczność, przypominając się jej ciągle swemi artykułami, nadsyłanymi do „Trybuny” ale dotychczas nie przodował innym, tak samo jak Maks Real, który nadto, w przeciwieństwie do pierwszego, o ile mógł unikał rozgłosu. Z konieczności mniej zajmowano się Titburem, odkąd zginął wszystkim z oczu, podróżując pod fałszywym nazwiskiem. Natomiast zawsze skromną Heleną Nałęcz zaczęto więcej wyróżniać i uważnie grę jej śledzić.

Poprzedzany wszędzie reklamą Milnera, Tom Crabbe, stał się bardzo popularnym i zyskiwał coraz więcej zakładów, lecz komodor, który zaćmił swych współzawodników początkiem gry, teraz zszedł na ostatni plan. Pokładane w nim nadzieje rozwiały się doszczętnie, odkąd rozeszła się wieść o fatalnym rozbiciu się dwumasztowca i nieszczęsnym wypadku jakiemu sam uległ. Byli nawet tacy, dla których umarł już podwójnie: jako człowiek i jako partner.

Najmniej ustalonym było zdanie o X. K. Z., bo gdy jedni trwali w upewnieniu, że jest on tylko zmyśloną, fantastyczną istotą, drudzy zaś z niejakim zastrzeżeniem słuchali i mówili o nim, to byli też i tacy, którzy nie tylko przyjmowali jego rzeczywistość, lecz tak uwierzyli w jego szczęście, że jedynie jemu prorokowali wygraną.

Tymczasem Jowita Foley przejęta ważnością gry, pilnowała przedewszystkiem, by jej przyjaciółka jaknajskrupulatniej dopełniała wszystkich warunków. Aby więc nie narazić się na spotkanie w Milwaukee z tajemniczym X. K. Z. obie te panie opuściły miasto jeszcze tegoż dnia, po otrzymaniu depeszy.

Teraz z kolei rzut kości w 27-ym maja wykazanemi punktami dziesięć, posuwał siódmego partnera do trzydziestej szóstej przedziałki, gdzie w grze Hyperbona umieszczony był Stan Illinois. Ze jednak równocześnie przysługiwał szczęśliwemu graczowi przywilej podwojenia ilości punktów, przeto korzystając z niego miał się udać wprost do okręgu Kolumbii, czyli do przedziałki czterdziestej szóstej.

— Prawdziwie, ten ma szczęście — powtarzano w całym Chicago — idzie naprzód szybkim krokiem, bez żadnego utrudzenia. Toż to znów spacer tylko, nie podróż.

— I jakże tu z nim porównać tamtych, którzy setki i tysiące mil mają do przebycia!

— Nietylko „człowiekiem z maską” ale dzieckiem szczęścia nazwałby go należało! Bo pomyśleć tylko, w kilkanaście godzin przejedzie sobie wygodnie w wagonie kolejowym: Indyane, Ohio i Wirginię, aby zatrzymać się w samej stolicy Unii, w pięknym Washingtonie.

(d. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

uł. Eswuk.

Z następujących sylab: bar—ba—cla—es—eck—ha—ne—nim—ko—kjach—krzyk—ir—i—ja—inc—ra—rze—nek—sło—ti—ta—tysz—szów—wie—wło—wek—Ya—uz—zan—zys—zoo—zi—ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko powieściopisarza pol. z pierwszej połowy XIX w. a litery końcowe czytane z dołu na górę utworzą tytuł jednej z jego powieści.

Znaczenie wyrazów: 1) Jedna z wysp Antylskich. 2) Głośny przeciwnik Lutra. 3) Bogini zemsty u star. Greków. 4) Miasto w Galicyi nad rz. Wisłoką. 5) Dopływ Missisipi. 6) Ptak z grom. brodzących. 7) Ryba morska z rzędu chrząstkowatych. 8) Wyspa Afryki od strony południowo-wschodniej. 9) Miasto w Górnym Egipcie, ważny punkt dla karawan. 10) Miasto powiatowe nad Wisłą. 11) Naród szczepu tatarskiego w Bucharyi. 12) Miasto powiatowe w gub. Grodz. 13) Miasto w Syberyi na pograniczu z Chinami. 14) Dopływ rzeki Ob.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Łamigłówki kropkowanej:

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,
Nucąc piosenkę: Kiedy ranne wstają zorze,
Rad, że się wypogadza. Mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło, kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała. Wiatr rozwinął dłonie,
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;
Tymczasem słońko z góry tysiącem promieni,
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Sucku lity pas wyrabia,
Dziewica siedząc w dole krosna ujedwabia,
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry,
Zrzuca jej nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł, a słońce dzierzgało.

Z Pana Tadeusza. A. Mickiewicza.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Najlicniejszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Na naszych polach, wiersz Lucyana Rydel (z ryc.) — Róż bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Pocałunek słońca, baśń przez Z. Potworowską — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Dodatek Powiastka o literkach (z ryc.) — Aniol-Stróż wiersz przez P. M. — Dzienniczek Wańdźi. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 22 Юля 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

POWIASTKA O LITERKACH.

Mama opowiadała córeczkom swoim śliczną bajeczkę — o zaczarowanym zamku, o zaklętej księżniczce, strzeżonej przez siedmiogłowego smoka, o dzielnym księciu, który smoka zabił, księżniczkę oswobodził i z nią się ożenił.

Dziewczynki słuchały bajki ciekawie, a kiedy mama odeszła do zajęć gospodarskich, dzieci próbowały powtórzyć ją sobie. Ale tylko najstarsza Gabrynia pamiętała całą bajkę; młodsza Witusia na koniec głównie zwróciła uwagę, a mała Marychna wiedziała tylko początek, bo potem bury kotek, skaczący po pokoju, przeszkodził jej w słuchaniu opowiadania mamy.

Gabrynia upominała siostrzyczki, żeby drugi raz uważniejsze były, bo mama tak nieuważnym dzieciom może nie zechce więcej opowiadać prześlicznych bajeczek.

— Kto mamę tych bajeczek nauczył? — pytała Witeczka.

— Umie ich tyle, a każda inna — dorzuciła Marychna.

— Ja myślę, że mama te bajki wyczytać musiała w książkach — rzekła Gabrynia — ma książek tak wiele, małych, dużych, z obrazkami i bez obrazków.

— A jak się bajeczki do książki dostały? — pytała Marychna.

— Napisali je mądrzy ludzie; trzeba znać literki żeby śliczne bajeczki odczytać — tłumaczyła poważna Gabrynia, która jako najstarsza do szkoły chodziła i umiała już sylabizować.

— To zacznijmy zaraz się uczyć — zawołała gorliwa Witusia i za chwilę poczęła się zabawa w nauczycielkę i uczennice.

Gabrynia była bardzo poważną nauczycielką, a że dwóch uczennic w szkole za mało, więc dziewczynki przybrały na towarzyszek swoje lalki i kotka Mruczka, który był bardzo rozpustny i ciągle różne wyprawiał figle i psoty.

— Nie przyjmuję Mruczka do szkoły — zawołała Gabrynia — sam jest nieposłuszny i drugim w nauce przeszkadza.

— Kiedy Mruczek ze mną zawsze być musi — broniła swego kotka Marychna.

— Ty przez niego także nieuważną jesteś — strofowała Gabrynia — nie nauczyłaś się ani jednej literki, które wypisałam na tablicy.

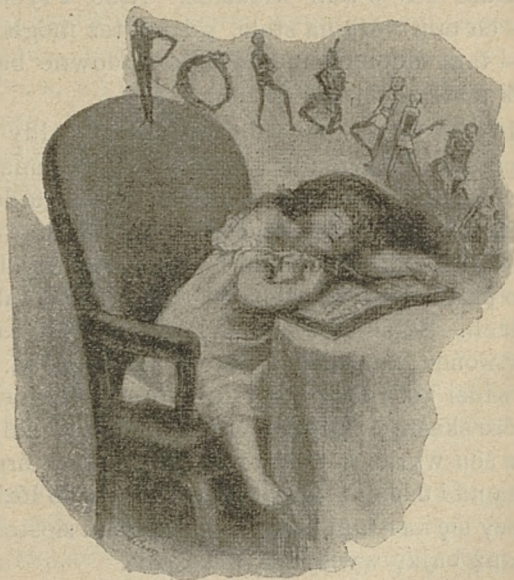
— Ale ja pamiętam wszystkie — pochwaliła się Witusia.

— To je powtórz — rozkazała Gabrynia.

Witusia stanęła przy tablicy i wskazując kolejno na literki, jednym tchem przepowiedziała: a-e-i-o-u...

— Bardzo dobrze — pochwaliła mała nauczycielka. — Teraz nauczę cię, jak się wszystkie literki składają w sylaby.

Ale tego Witusia odrazu pojąć i spamiętać nie mogła; starsza siostrzyczka nastraszyła ją, że nigdy nie nauczy się czytać i nie pozna ślicznych bajeczek z książek z obrazkami. Witusia rozplakała się na taką groźbę i dopiero uspokoiła ją mama obietnicą, że odtąd sama zajmie się jej nauką, a jeśli tylko zechce dołożyć pilności i uwagi, to będzie umiała już czytać, zanim pójdzie zimą do szkoły. A tymczasem co wieczór po dniu grzecznie spędzonym, opowie swym córeczkom zawsze jaką ciekawą bajeczkę.



— A kto ciebie, mateczko, tych bajeczek nauczył? — pytała Witusia.

— Wyczytałam je w książkach — odpowiedziała mama.

— A skąd one wzięły się w książkach? — zagadnęła Marychna.

— Napisali je rozumni i wykształceni ludzie, zwani autorami i autorkami, dali je wydrukować drukarzom i oto książeczka gotowa do czytania.

— A kto opowiedział te bajeczki tym autorom i autorkom? — dopytywała Gabrynia.

— Niektóre z nich opowiadała im gdy byli mali, tak samo jak ja wam teraz, ich mateczka, ciocia lub ba-

bunia, innych dowiedzieli się od ptaszków, rybek, zwierząt, drzew w lesie, kwiatów w polu...

— Mamo, jakże oni mogli rozmawiać z kwiatkami i ptaszkami?... — zawołała Witunia zdziwiona.

— Tego już ja nie wiem, bo nie jestem autorką — rzekła mama z uśmiechem.

Dziewczynki bawiły się resztę dnia wesoło, a gdy nadszedł wieczór, siadły około mameczki, która im zaśpiewała ładną piosnkę i opowiedziała bajkę o kopciuszku, którą znały już ją co prawda, ale bardzo lubiły.

Po skończonej bajce było już późno, więc zwinęły paciorek i położyły się spać każda do swego łóżeczka. Mała Marychna i Witusia, usnęły zaraz, ale Gabrynia jakoś wcale dziś śpiącą nie była, więc gdy mama krzątała się jeszcze po pokoju, poczęła wypytywać, czy też owa śliczna bajka o kopciuszku jest w jakiej książce drukowaną i czy ona ją kiedy jeszcze przeczytać będzie mogła.

— Jest, moje dziecko, drukowane i jak się nauczysz czytać, dostaniesz na imieniny książkę ze wszystkimi temi bajeczkami — ale teraz już śpij — rzekła mama, i odeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie przy świetle lampy tatuś czytał gazety, z których i mama wzięła jedną do ręki.

Gabrynia widziała przez uchylone drzwi obojga rodziców. Widziała jak jej droga mama i kochany ojciec od czasu do czasu uśmiechali się czytając. Co im tak zabawnego mogły opowiadać te książki i gazety? Jakżeby i ona chciała coś o tem wiedzieć. Albo z tych dużych książek, co tam leżą na stole, gdyby też mogła co przeczytać — tam dopiero muszą być cudowne bajki! Oj, musi dziś jeszcze zajrzeć do nich!

Gabrynia tarła oczy, żeby nie zasnąć. Gdy wreszcie rodzice przeszli do sypialni i zgasili światło, ona pocichu wyszła z łóżeczka, bosą, w koszulce, pobiegła do drugiego pokoju, z biurka tatusia wzięła dużą książkę, rozłożyła ją na stole, usiadła w wielkim fotelu i przy świetle zaglądnęła przez okno księżycu, zaczęła wodzić paluszkami po literkach. Składała z nich sylaby a z sylab całe wyrazy, aż w końcu zmęczona, zasnęła nad książką. Aż oto we śnie widzi jak różne litery przybrały dziwne kształty lalek, które skacząc złożyły wyraz „bajeczka.” Gdy Gabrynia przez sen wyraz ten parę razy głośno powtórzyła, nadeszła mama i uśpioną córeczkę przeniosła do łóżka, a ona wypawszy się na drugi dzień rozpowiadała siostrzyczkom, jaką śliczną bajkę wyczytała w książce.



Anioł-Stróż.

O dziecko! masz Stróża-Anioła,
Co strzeże na każdym cię kroku —
Czyń dobrze, dziecino! wciąż woła,
Gdy stoi przy tobie tuż z boku.

On liczy pocziwe twe czyny,
Gdy zbłądzisz — to łezkę uroni...
I choć to przyjaciel jedyny,
Twarzyczkę przed tobą zasłoni.

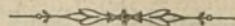
Lecz znowu przystąpi za chwilę,
Nie zrazi się pierwszą twą winą,
I szepce do serca tak mile:
O, popraw się, popraw dziecino!

A dobra dziecinka usłucha
Przestrogi, co w serce się wkrada,
I temu, co szepce do ucha,
Znów będzie posłuszna i rada.

Postępuj więc pięknie, o dziecko,
I nie smuć aniołka dobrego —
Usłuchaj, gdy szepce ci skrycie,
I gdy cię odwodzi od złego.

A Pan Bóg na ciebie łaskawy
Swych darów udzieli ci mnogo —
Bo Jemu ten miły, kto prawy...
Z aniołem idź życia twą drogą!

F. M.



Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Ma to być bardzo łagodne zwierzę i nadzwyczaj po-
wolne, to tylko żnie jest przyjemnem, że każde jego ok-
może patrzeć niezależnie jedno od drugiego.

Ojciec obstałował sobie 6 białych ubrań, mama pię-
lekkich, powiewnych sukien batystowych, a ja będę mia-
ła najwięcej, bo aż ośm; jedna jest zwłaszcza śliczna, cała
w bukiety fiołków, przywiozła mi ją mama od cioci Polci
z Poznania.

Ojciec mi kazał zrobić streszczenie historyi Tonkinu
zrobię je w tym dzienniczku, to mi zostanie na zawsze.

12 kwietnia 1900 r.

Bardzo mi żal opuszczać nasz kochany Cherburg
bo teraz dopiero na wyjeździe widzę, że się do niego
przywiązałam. Już się mama rozmówiła z tym panem
u którego meble zostaną do naszego powrotu. Biedne
meble, co one za losy przechodzą. Kupowała je babunia
matka mamusi w Poznaniu, długi czas stały w jej domu
a potem po śmierci dziadostwa, gdy mamusia szła za mąż
za ojczulka, to sobie te meble sprowadziła do Paryża
a potem znów pojechały za nami do Cherburga i tera-
musimy się z niemi rozstawać. Żal mi ich zostawiać i in-
 pewno także przykro.

To duże czarne lustro, tak smutnie na mnie patrzy
a amorki, co są u samej góry i trzymają girlandę z kwia-
tów, zdają się mówić:

— Odjeżdżasz, zostawisz nas tak samych, między
zupełnie obcemi meblami, żadnej twarzy znajomej nie
odbiję teraz.

Doprawdy, tak mi jakoś smutno, że nie mogę wcho-
dzić do salonu.

W La Barre zatrzymamy się dwa tygodnie, a wuj-
stwo odprowadzą nas do Marsylii, to trochę nas pociesza
bo wogóle smutno nam bardzo. Ja i mamusia nie poje-

Idziemy na koszt rządu, tylko tatuś, bo rząd płaci podróże żonom oficerów do kolonii spokojnych, jak Nowa Kaledonia, wyspa Bourbon, Senegal i t. d., a Tonkin, to się nazywa *colonie de guerre* (kolonia na stopie wojennej). Będzie tam trochę niebezpiecznie, ale tatuś za to może się dobić wyższej rangi i stanowiska. Jak powrócimy, to będziemy mieli trzy miesiące urlopu i pojedziemy do Zakopanego, które teraz w Wieczorach tak ciekawie opisuje pani Urbanowska w „Róży bez kolców.” Moja podróż i mamusi będzie kosztowała 2000 fr., ale pojedziemy pierwszą klasą, bo na statku prawie nie można inaczej. Tam na miejscu za to można dużo oszczędzić, bo wszystko ogromnie tanie, a pensję będziemy mieli podwójną.

Dostajemy teraz bardzo często listy z kraju. Wszyscy piszą, dopytują się o najmniejsze szczegóły naszej podróży, a ja odpisuję, bo mamusia nie ma już czasu, tak bardzo zajęta.

Zabieramy samowar i rozmaite kuchenne przedmioty. Mama dopytuje się u tych pań, żon oficerów, które powróciły z Tonkinu, co się nam przydać może.

Będziemy mieli trzy rodzaje kufrów: jedne zostaną na dnie okrętu, przez całą podróż, nie będzie można do nich zaglądać; drugie co sobota nam przyniosą, abyśmy mogli wyjąć i włożyć, co nam potrzeba, a trzecie najmniejsze, będziemy mogli mieć w kajucie. Nasz okręt nazywa się „Colombo” i jest pół wojenny.

Byłam z pożegnaniem na pensyi i u niektórych koleżanek, ogromnie mnie ścisnęły i prosiły, żebym im przysłała karty pocztowe z widokami, bo teraz wszyscy zbierają te karty. Ale ja nie zbieram, bo wolę długie listy pisać i odbierać.

Wczoraj byliśmy u pp. Maron na obiedzie, a dzisiaj pojedziemy do p. Feury; wszyscy nas zapraszają, wiedząc, że dom nasz w zamęcie i nieładzie, tak, że trudno do gościnienia się zabrać.

Nasz Filip ciągle wzdycha i mówi, że bardzo będzie za nami tęsknił, bo już takich dobrych państw, jak rodzice nie dostanie.

20 kwietnia 1900 r.

Napisałam wypracowanie o Tonkinie, ojciec mi poprawił, a teraz przepisuję je tutaj w dzienniczku. Jak powrócimy z tamąd za dwa lata, jeśli Pan Bóg pozwoli, to napiszę jeszcze raz, lepiej niż teraz, gdyż i ja urosnę przez ten czas i więcej się nauczę, a także sama się przekonam, jak tam jest, bo przecież w jednym miejscu ciągle nie będziemy, więc też i zwyczajnie poznam dobrze.

Pisała ciocia Kostunia, że Antolkowi kazała także zrobić wypracowanie o Tonkinie, aby poznał trochę kraj, w którym my dwa lata żyć będziemy, bo to co się przeżywa, to w klasie o koloniach francuskich, to bardzo powierzchowne, niewiele można się nauczyć.

Tonkin jest prowincją dawną państwa Anamskiego, najbujniejszą i najlepiej uprawną z całych Indyi zangajskich. Od wschodu graniczy z zatoką tego samego nazwiska, od południa z Kochinchiną, od północy z Chinami. Ufortyfikowane góry chronią Tonkin od północnego nieprzyjaciela, któremu przejście granicy utrudniają także jeziora pełne wody cuchnącej.

Tonkin dawniej należał do Chin i zostawał nawet pod protektoratem państwa niebieskiego, gdy już miał

swoich króli. Dopiero gdy w roku 1885 Chińczycy zostali pobici przez ranionego w ostatniej potyczce generała Negrier, podpisali pokój i zrzekli się wszelkich praw do Tonkinu. Pomimo to jednak protegują potajemnie tak zwanych piratów. Jest to zbiór rozmaitej narodowości rozbójników, więc Chińczycy, Anamici, Japończycy, biali nieraz, którzy nietyle w celach rabunku, jak z niechęci do Francuzów, przebiegają kraj, niszcząc go i paląc, a ludzi mordując. Dla tych częstych rozruchów Tonkin nazywa się „*Colonie de guerre*,” i łatwiej tam dosłużyć się wyższej rangi, gdyż właśnie z powodu tych utarczek można się odznaczyć, prędzej niż w „*Colonies pacifiques*,” gdzie zgoda, spokój i jedność panuje, jak na wyspie Bourbon lub Reunion naprzykład, którą nazywają krajem róż i pozioemek, kwitnących cały Boży rok.

Opowiadał nam ojczulek, jak raz podczas nocy na małym forcie napadli piraci i wyrznęli całą załogę. Podsuwają się oni tak cicho i zwinnie, że straż w żelaznych klatkach stojąc, nie słyszała ich nadejścia. Dla tego zawsze żołnierze stoją na czatach w klatkach żelaznych, bo zdarzało się, że zwierzę dziki rozszarpał żołnierza na warcie stojącego w kawałki. Tatuś stał w nocy raz na czatach i słyszy nagle za sobą mruczenie, odwraca się, patrzy, była to hyena! W jedną stronę uciekł tatuś w drugą ona. Bo hyena tylko martwych zjada, nigdy ludzi żywych. Ale tatuś w strachu o tem zupełnie zapomniał. Z fortu do fortu są telegraficzne połączenia, a oprócz tej szybkiej i łatwej komunikacji, koniecznej w razie napadu, jest w każdym forcie rodzaj wysokich obserwatoriów, z których można widzieć na bardzo daleką przestrzeń, czy okolica spokojna. Z fortu do fortu jest tylko godzina drogi pieszo, to też teraz jest w Tonkinie spokojniej i bezpieczniej.

Stolicą Tonkinu, dawniej było Kecho a teraz Hanoi nad rzeką Czerwoną (czyli Song-Koi), liczy 140,000 mieszkańców. W porcie stoi mnóstwo okrętów, takich, jakie używają w Chinach i Japonii, zupełnie wązkie, zwanych *sampausi jonques*. Czy nie zabawne nazwy, prawdziwie azjatyckie. Ciekawam, czy Antolek o tych statkach coś będzie wiedział. Pewno nie, bo to ja wiem tylko od tatusia.

Jak wszystkie miasta azjatyckie, Hanoi podzielone jest na część handlową i wojenną, w tej ostatniej pełno jest gmachów zwanych: koncesją francuską. Forteca zbudowana w wielki czworobok z basztami, mury jej z cegły i marmuru otoczone są głęboką i przepaścistą fosą. Pomimo wojskowego charakteru tego miasta przechadzki są dalekie i podobno bardzo ładne. Ale jaby się obawiała piratów i bez tatusia mego najdroższego, nie wytknę nosa poza miasto. Temperatura, zimą dochodzi 7 stopni ciepła w północnych częściach kraju, nie przechodzi 10 stopni, w okolicach delty, utworzonej przez rzekę Long-Koi.

Podczas całej zimy która tam trwa od października do marca, pada drobny deszcz, nazwany przez marynarzy „*crachin*.” Latem temperatura dochodzi do 40 ale zwykle bywa około 30-u stopni ciepła. Mój Boże! co to będzie za gorąco, aż mi strach myśleć, abym tylko nie dostała febry z gorączką, jak ta mała córeczka pp. Fleury, która tam w Tonkinie umarła podczas lata. Biedna mała, nie zna-

łam jej wcale, ale jej matka ciągle o niej opowiada i wspomina ją tak często. To musi być okropne dla matki, mieć tak daleko pochowane dziecko i nie móc nawet pomodlić się na jego grobie. Często też pani Fleury, gdy do niej idziemy, ma oczy czerwone, chociaż jeszcze ma inne dzieci zdrowe zupełnie.

La Barre pod Paryżem 30 kwietnia.

Już tydzień jak tu jesteśmy, tak nam dobrze pomie-
dzy swymi, tak się znakomicie bawię z Antolkiem i Sta-
siem. Bo ciocia Kostunia w swojej dobroci uwolniła
Antolka z pensyi, abyśmy ten ostatni czas przed wyja-
zdem byli razem. Dokazujemy też we trójkę, co się
zmieści, bawimy się w najrozmaitsze gry. Antolek ma
maszynkę drukarską, więc wydajemy niby to gazetę
i opowiadamy w niej o przyjęciu niedzielnym w La Bar-
re, wliczamy gości, a każdemu dodajemy do nazwiska
jaki pochlebny lub ujemny przymiotnik, potem zbiega-
my na dół i pokazujemy starszym, więc śmiech z nas
ogromny z dowcipów i błędów, bo nieraz się zdarzy ja-
kiś błąd stylowy lub gramatyczny, jak to Antolek nazy-
wa z niemiecka *feler*. My się bronimy i spędzamy to na
omyłki drukarskie, to znowu na niedbalstwo redakcyi,
i zawsze cało wychodzimy. Tatusz woła:

— Stawić mi tu zecera, trzeba go obić, że po polsku
pisać nie umie! i niby to się zabiera do bicia Antolka,
a on udaje, że go boli i krzyczy w niebogłosy:

— Mamo, bo mnie wujek zabije, bo mnie zabije!

I tak się bawimy doskonale, że wypowiedzieć nie
umiem. Ale czasem Antolek jest też naprawdę niegrze-
czny; kiedy pisałam wczoraj dziennik, to mi się tak sprze-
ciwiał, że zrobił mi na białej sukience plamę atramentem;
tak się tem zmartwiłam, bo to nowa sukienka, że przy-
skoczyłam do niego z pięściami; na to wszedł tatuś i cio-
cia Kostunia; tatuś spojrzał na mnie groźnie, bo byłam
czerwona jak burak, i z taką złością rzuciłam się na
Antolka, jak na panienkę wcale nie przystało. Ciocia roz-
pytała się o wszystko i kazała Antolkowi mnie przeprosić
i bardzo ostro go zganiała, aż mięgo się żal zrobiło; mówiła
mu, że jest we własnym domu, że nie umie być uprzej-
mym ani gościnnym, że nie jest, jak Polak być powinien.
(d. c. n.)

ZAGADKA.

od Dzidki dla „Wieczorów.”

Że mamy urok kwiateczków,
Nikt nie zaprzecza nam w świecie,
A jednak ruch nasz swobodny,
I próżno gonisz nas dziecię.

Że mamy skrzydła jak ptaszki,
Barwami ich zaćmiewamy
Przyznajesz — tylko, że głosu
Jak one, my znów nie mamy.

Byt nasz na ziemi tak krótki,
Że dnie za lata nam stają,
Lecz czyż nam o to się skarżyć,
Gdy dnie te szczęście nam dają?...

Mieszkamy w pysznych pałacach,
Z kielichów nektar pijamy,
Od czarnej ziemi zdaleka
W słonecznych blaskach bujamy.

Nie dręczysz troska o jutro,
Nie smucim się ani chwilkę,
— Ach — pytasz — kto wy jesteście?
— Nie wiesz?... My lekkie

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. Podróżnik.

1	W kwadracie o 5 przedziłkach ułoży
. 2	w każdym rzędzie wyraz pięcio - zgło
. . 3	skowy, aby litery oznaczone liczbami
. . . 4	złożyły nazwę stolicy jednego z na
. . . . 5	większych państw w świecie.

Znaczenie wyrazów: 1) Roślina nale-
żąca do zbóż. 2) Twierdza w Afganistanie. 3) Wielka burza na
morzu. 4) Wysepka leżąca przy cieśninie Babel-Mandeb. 5) Jedn-
o z wysp Filipińskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Zagadki: Litera R.

Arytmogryfu:

1) Tyrol. 2) Rok. 3) Achilles. 4) Norwegia. 5) Sokrates
6) Wrona. 7) Arno. 8) Apis. 9) Laponia.

Transwaal.

Skrzynka do listów.



Masz łatwość Te-Be wypowiedzenia myśli swoich mową wi-
zaną, a wiersz twój do „kwiatka” świadczy, że tym myślom p-
dniejsze umiesz wskazać cele. Pamiętaj jednak, że „kom-
wiele dano, od tego wiele wymagane.” Kształć się więc, pracuj
a nie pożądam dla siebie przedwczesnego rozgłosu, próżność bo-
wiel jest chwastem zanieczyszczającym duszę człowieka. Niech
ziarna zdolności twoich dojrzewają w cieniu, zwolna, a w prz-
szłości tem obfitszy plon z nich zbierać będziesz. Życzenie tw-
je co do uczestniczenia w konkursie uwzględniamy.

Wszystkim czytelnikom naszym, pytającym o Jaskółkę d-
nosimy, że ta ukochana przez nich ptaszyna, oddychając obecn-
aromatem łąk i lasów, używając wiejskiej swobody, zbiera zap-
świeżych wrażeń, któremi za powrotem jesienią do miasta podzi-
li się z korespondentami swymi.

Wielu z pośród czytelników „Wieczorów” poświęcaj-
wolne chwile wakacyjne na układanie zadań i łamigłówek, zaop-
truje niemi obficie Redakcyą naszą. Nie możemy też spełnić ż-
dania Świtezianki, Wieszczy i Rusatki, proszących, aby ich sz-
rady i metagramy, jaknajprędzej drukowane były. W tem, że
równy jak w wielu innych rzeczach, trzymać się wypada porzą-
kowej kolejki.

Prócz trzech wyżej wymienionych czytelniczek nadesł-
zadania swego okładu i rozwiązania podanych w Wieczorach ł-
migłówek: Piotr S., Marzycielka, Elwuk, Zosia i Leo, Cyklis-
z nad Oksy, Fiołek z Łasku, Córa Mazurów i Bezimienna.